

Jeden dzień od Szczecina – Frankfurt /Słubice

Ich dom w dwumieście nad Odrą

Z MOSTU nad Odrą, którego przekraczanie po 1945 r. nieraz było politycznym spektaklem, widać oba miasta: z jednej strony Frankfurt – sylwetki gotyckich kościołów, Oderturm i osiedla z czasów NRD, z drugiej Słubice – jasną bryłę Collegium Polonicum i kamienice sprzed wieku.

MOST można dziś przejść, nie zauważając granicy dwóch państw – z miasta do miasta, jakby to było jedno miasto.

Do 1945 r. było to jedno miasto: Frankfurt. Ten sam most łączył wówczas jego centrum z przedmieściem Dammvorstadt, dzisiejszymi Słubicami.

Leonie Hofegen ma dwadzieścia kilka lat. Codziennie przejeżdża przez most, bo mieszka w Słubicach, a pracuje we Frankfurcie. Od ponad pół roku między oboma miastami kursuje autobus linii 983.

Michael Kurzwelly, artysta plastyk, uważa, że teraz nad Odrą znów jest jedno miasto, ale polsko-niemieckie. Nazwał je Słubfurt.

Raz do roku zbiera się wspólny parlament Słubic i Frankfurtu, często spotykają się wspólne komisje robocze. Wymyślono określenie: dwumiaśto – Doppelstadt.

Dietrich mówi, że pogranicze to dobre miejsce dla ludzi o „pomieszanych życiorysach”.

No właśnie: Leonie urodziła się w Holandii, mieszkała w Amsterdamie, jej mama jest Serbką, ojciec Holendrem, a mąż – „mieszkańcem” chińsko-holenderskim. Trzy lata temu przyjechali do Polski. Mieszkają w Słubicach, gdzie im się bardzo podoba.

Leonie zna kilka języków. Serbskiego zapomniała, a polskiego nauczyła się sama. Musiała, bo kiedy po przyjeździe chciała coś załatwić w Gorzowie, w tamtejszym urzędzie nikt nie mówił inaczej – tylko po polsku. „Oho – pomyślała wtedy – chciesz żyć w Polsce, ucz się polskiego. To fajny język”.

Monika, z którą razem pracują, a która mieszka pod Słubicami, zaprosiła ich z mężem na rodzinną wigilię.

– Tyle wydarzeń w jeden wieczór, tyle potraw! Polacy pilnują swoich tradycji i to jest piękne. A w Holandii? Indyk na stół, ciach i koniec.

Przed zjednoczeniem Niemiec Frankfurt miał 90 tysięcy mieszkańców – teraz ma 60 tysięcy. – To za mało – mówi Dietrich, dziennikarz „Märkische Oderzeitung”. Zna polski, rosyjski, białoruski, jego żona jest z Białorusi, córka poślubiła Egipcjanina. Dietricha martwi, że Amerykanie zamknęli port Frankfurtu fabrykę solarów.

– Przepadło dużo miejsc pracy, Frankfurt się zwija, młodzi ludzie wyjeżdżają. Dla nich Europa to bezrobocie. Czy mogą być z niej zadowoleni? – pyta retorycznie.

Opowiada o Fischerstrasse, odnowionej uliczce opodal Odry. – Mówią, że to „mała Warszawa”. Mieszka tam trochę Polaków, którzy pracują na Viadrinie.

Jasna wieża kościoła Mariackiego prawie sąsiaduje z Oderturm, wyższym od niej i jeszcze energicznym punktowcem.

Kościół jest pięcionawowy i ma jedną wieżę, bo bliźniacza zawałiła się w XIX w. Jest szeroki, z połowy XIII w., a prezbiterium z połowy wieku XIV dowodzi inspiracji hanzeatycko-południowoniemieckich. Siedmiokątna kaplica, dostawiona do niego trochę później, to pamiątka czasów Karola IV, cesarza Niemiec, króla Czech i margrabiego Brandenburgii. Wchodzi się do niej od strony ratusza, przez portal z rzezbami i herbami Cesarstwa,

Czech i Brandenburgii – dwoma orłami i lwem.

Pod koniec ostatniej wojny kościół został wypalony. Do 1974 r. władze NRD chciały go rozebrać. Gruntowną renowację zaczęto po zjednoczeniu Niemiec. Wewnątrz widać ślady pożarów, a w prezbiterium i zakrystii z misternym sklepieniem – średniowieczną, barwną malaturę.

Rosyjska Duma postanowiła w 1999 r., że dobra kultury, wywiezione po drugiej wojnie z Niemiec do ZSRR, są własnością narodu rosyjskiego, rekompensatą za straty, spowodowane w Rosji przez hitlerowskie Niemcy. A jednak trzy lata później średniowieczne witraże, wyjątkowe w Europie, wróciły do kościoła Mariackiego.



Sören Bollmann

Z trzech strzelistych okien prezbiterium zostały wyjęte w 1941 r. i złożone w piwnicy, w dwudziestu dwóch skrzyniach. W kwietniu 1945 r. znalazły się w Poczdamie – tam odkryli je radzieccy tropiciele dzieł sztuki i przewieźli do centralnej rzeźni Berlina, gdzie był skład trofejnych dóbr z radzieckiej strefy okupacyjnej (Szczecin też do niej wtedy należał). W 1946 r. zostały wysłane do Leningradu.

Przez lata uważano w Niemczech, że zaginęły. Gdy w 1991 r. „Litieraturnaja Gazieta” ujawniła, że są w Ermitażu, zaczęły się na najwyższych szczytach polityki starania o ich powrót. A Wolfgang Pohl, nadburmistrz Frankfurtu, nie bacząc na szczyty, napisał w imieniu mieszkańców list wprost do Borysa Jelcyna.

W 2002 r. witraże wróciły: sto jedenaście kolorowych szklanych obrazów w dwudziestu dwóch skrzyniach (sześć obrazów wróciło później). Idzie się więc do wielkiego i pustego kościoła Mariackiego, by je oglądać w trzech strzelistych oknach prezbiterium. W pierwszym oknie opowiadają o stworzeniu świata, w drugim – o dziejach Chrystusa, w trzecim – o Antychryście.

Prawa miejskie berlińskie nadał Frankfurciowi margrabia Jan I w 1253 r. Na północ od kościoła Mariackiego, też na lewym brzegu Odry, ale za mostem, stoi dawny kościół św. Mikołaja. Ma dwie wieże, nazywa się kościołem Pokoju i jest Międzynarodowym Centrum Ekumenicznym. W 1226 r., gdzieś w tamtej okolicy, Henryk I Brodaty, Piast, który przez całe życie toczył rodzinne i krwawe wojny polsko-polskie, by przewyciężyć rozbicie dzielnicowe, nadawał prawa miejscowym Słowianom. W Marchii splatały się wówczas

interesy polskie i niemieckie, a Frankfurt należał do diecezji lubuskiej.

Minęło sto lat i Władysław Łokietek, pustosząc Nową Marchię, dotarł pod Frankfurt. W czasach Jagiellonów i Hohenzollernów był hołd pruski, ale potem małżeństwa i mariaże.

Opodal kościoła Mariackiego, ale za parkiem i pomnikiem Heinricha von Kleista, jest neogotycki kościół św. Gertrudy. Po przeciwnej jego stronie też jest park, a w nim mauzoleum żołnierzy Armii Czerwonej.

Parki we Frankfurcie mają moc. Największy, angielski, prawie najstarszy w Niemczech, założył w pierwszej połowie XIX w. Peter Joseph Lenné, mistrz sztuki ogrodów.

Do kościoła św. Gertrudy wchodzi się dziwnie, bo na piętro, po wewnętrznych schodach w kruchoce. Otwiera się drzwi i są – skarby z kościoła Mariackiego:



Niemal śródziemnomorski widoczek we Frankfurcie nad Odrą

XIV-wieczny, bodaj pięciometrowy, rzeźbiony i mosiężny lichtarz, równa mu wiekiem i walorami mosiężna chrzcielnica, epitafia, obrazy, świeczniki i ołtarz maryjny w złocie (XV w.), o którym mówią, że jest ze szkoły norymberskiej i ocalał cudem.

Blisko stąd do kolorowych szeregowców z ogrodami przy Fischerstrasse, które schodzą do rzeki. A potem idzie się do Viadriny, do audytorium im. hr. Marion Dönhoff i przez most na Ziegenwerder – Wyspę Kozią.

Przelecieć ją można ot, w dziesięć minut – jaki problem! Nie o to jednak chodzi, lecz o to, że na wyspie nogi można moczyć w wodzie, łązić, leżeć na łąkach, patrzeć na Odrę, trzciny i kwiaty, przyjąć z dziećmi.

W czasach NRD mała, przygraniczna Ziegenwerder była zamknięta. Wielkich zmian trzeba było w Europie, by udostępnić ją mieszkańcom.

W dawnym areście nad Odrą, między kościołem Pokoju a Filharmonią im. Carla Philippa Emanuela Bacha (były kościół), za rzeźbioną grupą grajków, jest Centrum Informacji i Dokumentacji, a w nim wystawy o totalitaryzmach i filia Federalnej Komisji ds. Badań nad Działalnością Tajnych Służb w NRD.

Dziesiątki stowarzyszeń działa we Frankfurcie, w tym osiemdziesiąt cztery sportowe, w których trenuje co piąty mieszkaniec. Hannelore Skirde założyła stowarzyszenie opiekujące się drzewami i jest ważnym partnerem dla władz miasta, jak inne stowarzyszenia. Dorit Bunk zajmuje się w urzędzie terenami zielonymi. Mówiła niedawno, że coraz więcej mieszkańców dobrowolnie opiekuje się miejskimi kwietnikami i sadzi

drzewa. W Wielogeneracyjnym Domu Mikado realizują swoje pasje wszystkie pokolenia: od wnuków do dziadków.

Michael Kurzwelly kończył akademię sztuki w Berlinie i Poznaniu, mieszkał w Paryżu, a swoje miejsce znalazł we Frankfurcie i Słubicach. To on wymyślił wirtualne dwumiaśto Słubfurt, a potem Nową Amerykę, obywatelski kraj na polsko-niemieckiej granicy. Założył stowarzyszenia i działa. Często podróżuje po Nowej Ameryce, a wtedy – cóż – nie ma go w Słubfurcie.

– Słubfurt nie każdemu się podoba, lecz innych fascynuje – mówi Sören Bollmann. – To kwestia poczucia tożsamości. Dla mnie i Michaela tożsamość jest czymś bardziej europejskim, międzynarodowym, polsko-niemieckim. Dobrze się w tym czujemy.

Na bulwarze jest postindustrialny Kartoffelhaus, a w nim,

właśnie Erika Stürmer-Alex, znana artystka z niedalekiego Seelow.

Potem trzeba obejrzeć ratusz, wejść do knajpki pod nim, popatrzeć na nowe domy, zbudowane – jak w Szczecinie – na fundamentach starych kamienic i iść w stronę Odry, do Muzeum Viadriny w starej kamienicy ze sztukateriami, wewnętrznymi, szerokimi schodami z grubych desek, z czterema piętrami wystaw o dziejach miasta i uniwersytetu.

Bliziotko jest Muzeum Heinricha Kleista. Był pisarzem, pochodził z Frankfurtu, a 21 listopada 1811 r., z przyjaciółką o imieniu Henrietta, popełnili samobójstwo. Historia znana, uważana za „czyn estetyczny”, choć mówią też, że przyczyną mogła być śmiertelna choroba Henrietty.

Viadrina znaczy „położona nad Odrą”. Z pasażu w Oderturm wychodzi się wprost na główne gmach Europejskiego Uniwersytetu, w którym uczy się 6 tys.



Leonie Hofegen

studentów z ponad pięćdziesięciu państw. Co szósty jest z Polski.

W autobusie 983 żwawy młodzieniec peroruje przez telefon: – Myślisz, że jedziesz na studia za granicę, tak, bo do Frankfurtu? Zapomnij! To nie zagranica!

Uczelnia powstała w 1506 r. Studowali w niej głównie Niemcy i Polacy, a także Skandynawowie. W 1811 r. przeniesiono ją do Wrocławia, a odtworzono w roku 1991. Razem z Collegium Polonicum, powołanym w Słubicach przez Uniwersytet Poznański, tworzą dziś ważny ośrodek akademicki i faktyczne centrum badań polsko-niemieckich.

Po pierwszej wojnie światowej Frankfurt stał się głównym miastem granicznym na wschodzie Niemiec. Jego nadburmistrz mówił: „Jako nasz święty obowiązek traktujemy stworzenie wału przeciwko napierającej Słowiańszczyźnie”.

Gdy w 1945 r. Polska objęła wschodnie Nadodrze, w tym dzisiejsze Słubice, podkreślano, że wzdłuż Odry powstanie „wał ludnościowy”, chroniący ją przed naporem germańskim.

Dziś dwumiaśto znajduje się w centrum europejskiego korytarza komunikacyjnego, a na dworzec we Frankfurcie przyjeżdżają także mieszkańcy Słubic. Do domu jadą autobusem 983 albo idą pieszo (pół godziny z górki), nie zauważając granicy na moście.

Gdy Dietrich przyszedł wieczorem, Leonie kończyła pracę w hotelu „Am Kleistpark” i przekazywała obowiązki Monice.

– Cześć – rzuciła na odchodnym. – Jadę do domu.

Tekst i fot. Bogdan TWARDOCHLEB

Artykuł napisany w ramach stypendium dziennikarskiego Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej